

Algis Budrys

Kryształowa ściana, oko nocy

(Wall of Crystal, Eye of Night)

Galaxy, December 1961

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novelette "Wall of Crystal, Eye of Night" by Algis Budrys, first publication in Galaxy Magazine December 1961, published by Project Gutenberg, April 10, 2016 [EBook #51726]

According to the included copyright notice:

"This etext was produced from Galaxy Magazine December 1961. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed".

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:

http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Koło biurka Rufusa Sollenara, miękko jak płacz lamentującej gołębiczy, zabrzmiał telefon. Sam Sollenar stał kilkadziesiąt kroków dalej; unosząc wysoko swą lwią głowę, z rękoma w kieszeniach, obserwował świat nocą, wyglądając przez kryształową ścianę dającą widok na całą Wyspę Manhattan. Okno znajdowało się tak wysoko, że część rozpościerającej się panoramy skryta była pod niskimi obłokami wiszącymi nad rzekami. W górze świeciły gwiazdy; miasto poniżej porysowane było świetlistymi liniami i wypełnione między nimi po brzegi światłem. Spadająca gwiazda – rakietą międzyplanetarna – zmierzająca w stronę Long Island Facility, przecięła smugą niebo jak jasna rysa na ciemnej sadzy drzwi Piekieł.

Wzrok Sollenara wychwycił to wydarzenie, ale on sam obserwował całą roztaczającą się przed nim scenerię, nie zwracając specjalnie uwagi na żaden jej konkretny element. Oczy mu błyszczały.

Kiedy usłyszał telefon, uniósł lewą dłoń do warg.

— Tak?

Na ręce błyszczały mu pierścienie utilijem; wyglądało to tak, jakby założył na palce coś w rodzaju miedzianych łączów, wykorzystywanych kiedyś do wzmacniania wręg szkieletu drewnianych statków wojennych.

Dobiegający z zupełnie pustego miejsca w pobliżu biurka głos jego osobistej recepcjonistki, przemieścił się w puste miejsce koło ucha Sollenara. Siedząca przy pulpicie z monitorem w swym biurze, gdziekolwiek by to biuro nie było, recepcjonistka powiadomiła go:

— Pan Ermine twierdzi, że ma umówione spotkanie.

— Nie.

Sollenar opuścił dłoń i powrócił do kontemplacji panoramy. Kiedy był dwadzieścia lat młodszy – i zarządzał skromną fabryką optyczną, dającą utrzymanie trzem pokoleniom Sollenarów – bardzo pragnął tak sobie móc stać w takim miejscu jak to, i lubił się wczuwać w uczucia wyobrazonego siebie, w takich okolicznościach. Teraz jednak, czuł się zupełnie niewyobrażalnie.

Być tutaj, to jedna sprawa. Niemal stracić prawo do tego i odzyskać je w ostatniej chwili, to zupełnie inna. Teraz już wiedział, że może być tutaj nie tylko dzisiaj, ale że będzie mógł również jutro i pojutrze. Wygrał. Ryzykowna gra dała mu EmpaVid – a EmpaVid mogło dać mu wszystko.

Miasto było nie tylko nagrodą, za jaką podążał. Było ono dynamicznym systemem, którym, jak pokazał, potrafił manipulować. Stanowił z nim jedność. Żywiło go ono i utrzymywało; pozwalało mu stać tutaj, na wysokościach, z gwiazdami nad głową i rozświetloną światłem mgiełką pod nogami.

Telefon zamiauczał ponownie.

— Pan Ermine twierdzi, że na pewno ma umówione spotkanie.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

I lewa dłoń z utilijemami ponownie odsunęła się od ust Sollenara. Uwielbiał takie zabawki. Uniósł prawą dłoń, okrytą subtelnym niemalże niematerialnym ciemnoniebieskim jedwabiem, w którym srebrne włókienka metalowych przewodów delikatnie biegły w stronę koniuszków palców. Uniósł dłoń i zetknął ze sobą dwa palce: z przodu i z tyłu zaczęła grać muzyka. Zetknął ze sobą kombinację dwu innych obwodów na palcach i z tarasu po drugiej stronie pomieszczenia, którego drzwi otworzyły się, doleciał miękki kobiecy śmiech. Ruszył w jego stronę. W otworze drzwi pozostała pojedyncza warstwa przejrzystej tkaniny, powiewając lekko w dolatującym z tarasu wietrzyku. Przez nią można było dostrzec niski stolik z zapaloną świecą; wino w stojącym obok niego uchwycie z koszem z lodem; dwa delikatne krzesła; czekającą na jednym z nich Bess Allardyce, wysmukłą i królewską – wszystko to widoczne przez mglistą zasłonę, sprawiało wrażenie początku, czy też końca snu.

— Pan Ermine przypomina panu, że spotkanie zostało umówione na Dorocznym Obiedzie Biznesowym, International Association of Broadcasters, w 1998 roku.

Sollenar dokończył swój ostatni krok, a potem zatrzymał się. Marszcząc brwi powiedział do swej lewej dłoni:

— Czy pan Ermine jest ze Specjalnego Biura Public Relations IAB?

— Tak — odparł głos, po krótkiej przerwie.

Palce prawej ręki Sollenara złożyły się w stożek. Drzwi łączące z tarasem zamknęły się. Dziewczyna zniknęła. Muzyka ucichła.

— W porządku. Proszę powiedzieć panu Ermine, żeby wjechał na górę. Sollenar podszedł do swego biurka i usiadł za nim.

Rozległ się dzwonek w drzwiach biura. Sollenar wykrzywił palec prawej dłoni, i drzwi stanęły otworem. Kolejnym gestem zapalił górne oświetlenie koło drzwi, a sam usiadł w cieniu. Pan Ermine wszedł do środka.

Ermine ubrany był w strój w rdzawym kolorze. Nie wyglądał zbyt wyrafinowanie, a dłonie miał puste. Twarz miał okrągłą i miękką, obwiedzioną długimi, ciemnymi bakami. Czubek jego głowy był zupełnie łysy. Stanął tuż przy wejściu biura Sollenara i stwierdził:

— Prosiłbym o nieco więcej światła, abym mógł również i pana zobaczyć, panie Sollenar.

Sollenar wykrzywił swój mały palec.

Górne lampy w całym biurze rozbłysły delikatnym światłem. Kryształowa ściana zmieniła się w lustro, przebijały się przez nią tylko najsilniejsze światła miasta.

— Chciałem tylko obejrzeć sobie pana jako pierwszego — odparł Sollenar. — Myślałem, że może kiedyś przedtem już się spotkaliśmy.

— Nie — powiedział Ermine, przechodząc przez biuro. — To mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek widział mnie pan na oczy. — Wyjął z kieszeni futerał z legitymacją i pokazał ją Sollenarowi, identyfikując się w ten sposób. — Nie jestem osobą, która stałaby w pełnym świetle.

— Proszę, niech pan usiądzie — zaprosił go Sollenar. — Co mogę dla pana zrobić?

— W obecnej chwili, panie Sollenar, to raczej ja robię coś dla pana.

Sollenar odchylił się w krześle.

— Pan? Pan teraz robi? — Marszcząc brwi spojrzał na Ermine'a. — Kiedy stałem się stroną Statutu i regulaminu Stowarzyszenia, przyjętego na Obiedzie w 98 roku, myślałem że Specjalne Biuro Public Relations mogłoby się stać wartościowym zasobem dla organizacji. I dlatego głosowałem za jego utworzeniem i władzą jaka została mu powierzona. Nigdy jednak nie spodziewałem się żadnych osobistych spraw które by mnie z nim łączyły. Przypominam sobie tylko, że panowie macie carte blanche w stosunku do każdego członka IAB.

— No cóż, oczywiście od 98 roku minęło już trochę czasu — przyznał Ermine. — Wyobrażam sobie, jakie legendy mogły wokół nas narosnąć. Plotki w branży – tego typu rzeczy.

— Tak.

— Ale my nie ograniczamy się do funkcji wymuszających, panie Sollenar. Zgodnie z naszą wiedzą, nie złamał pan żadnego punktu Statutu.

— Podobnie jak i moją. Ale nikt nie może się czuć pewny na sto procent. Nie w tych okolicznościach. — Na razie Sollenar nie pozwolił jeszcze, aby twarz odprężyła mu się i rozjaśniła wspaniałym uśmiechem. — Jestem przekonany, że pan to rozumie.

— Mój nieco mniej ambitny starszy brat, pracuje w Federalnym Biurze Śledczym. Kiedy rozpocząłem swoją własną karierę, powiedział mi, że powinienem się spodziewać, iż cały świat będzie na mnie reagować jak przestępca, tak. — Powiedział Ermine, nie zwracając uwagi na mimowolne mrugnięcie Sollenara. — To jeden z czynników utrudniających życie w profesji takiej jak mojego brata, czy moja. Ale, panie Sollenar, jestem tutaj po to, aby udzielić panu rady, i tylko po to.

— W jakiej kwestii, panie Ermine?

— No cóż, pańska korporacja, przejęła ostatnio kontrolę nad patentami na nowy system video. Rozumiem, że w efekcie czyni to pańską korporację właścicielem praw licencyjnych do medium rozrywki o ekstremalnie wysokiej sprzedaży. Fantastycznie wysokiej.

— **E**mpaVid — potwierdził Sollenar. — W świadomie odbierany program wplecione są rozmaite bodźce podprogowe, które są razem z nim nadawane. Domowy odbiornik zawiera czujniki odpowiedzi zwrotnej, określające reakcję widza na te bodźce, i intensyfikujące niektóre z nich, a obniżające poziom innych, w celu stworzenia kompletnej emocjonalnej zgodności między widzem i nadawanym programem. Innymi słowy EmpaVid jest systemem włączającym do nadawanej audycji emocje widza, w celu osiągnięcia lepszego efektu. Aparat domowy jest jedną zamkniętą całością, jest na wpół przenośny i nie jest jakoś znacząco większy od standardowego odbiornika TV. EmpaVid jest kompatybilny ze standardowymi odbiornikami TV – poza tym, oczywiście, że nadawany

program odbierany na zwykłym urządzeniu, wydaje się mniej ciekawy i jakoś mgliście niesatysfakcjonujący. Tak więc konsument szybko kupuje odbiornik EV. — Wyjaśnienie natury swego sukcesu, sprawiło Sollenarowi całkiem sporą przyjemność.

— I to po bardzo rozsądnej cenie. Pełna racja, panie Sollenar. Ale miał pan trochę problemów ze znalezieniem potencjalnych licencjobiorców na ten system, pośród sieci telewizyjnych.

Wargi Sollenara lekko się zacisnęły.

Pan Ermine uniósł do góry palec.

— Najpierw była kwestia pozyskania patentów od oryginalnego wynalazcy, do której podchodził także Cortwright Burr.

— Tak, zgadza się — potwierdził Sollenar zupełnie innym tonem.

— Rywalizacja między panem Burrem i panem jest zadawniona i intensywna.

— Dosyć intensywna — przyznał Sollenar, patrząc prosto przed siebie, na jedną z pustych ścian swojego biura. Biura Burra znajdowały się kilka przecznic dalej w stronę centrum, w tym właśnie kierunku.

— No cóż, nie chciałbym nadmiernie wyolbrzymiać tej kwestii. Pan Burr jest jednak członkiem IAB równie dobrym jak i pan, panie Sollenar. W każdym bądź razie, były także inne problemy z licencjonowaniem EV, spowodowane bardzo wysokimi kosztami związanymi z wyposażeniem stacji nadawczych i urządzeń przekaźników sieciowych dla tego rodzaju transmisji.

— Tak, były.

— W końcu, jednak, udało się to panu. Wykazał pan, całkiem słusznie, że wystarczy aby tylko jedna stacja dokonała tej zmiany, oraz kilka odbiorników EV zostało umieszczonych w miejscach publicznych na obszarze obsługiwanym przez tę stację, a normalne firmy TV nie będą w stanie konkurować z nią o zyski reklamowe.

— Tak.

— A więc, ostatnie pańskie problemy zostały rozwiązane parę dni temu, kiedy pańska EmpaVid Unlimited – proszę wybaczyć; kiedy EmpaVid, firma zależna od Sollenar Corporation – stała się głównym udziałowcą Transworld TV Network.

— **N**ie rozumiem, panie Ermine — stwierdził Sollenar. — Dlaczego pan mi o tym wszystkim mówi? Czy próbuje pan zademonstrować mi rozmiary swojej wiedzy? Wszystkie te transakcje, zgodnie ze Statutem, są już jedynie kwestią zapisów w poufnych rejestrach IAB.

Ermine uniósł palec po raz drugi.

— Zapomina pan, że jestem tutaj tylko po to, aby udzielić panu pewnej rady. Mam dwie rzeczy do powiedzenia. Oto one:

— Te transakcje są w rejestrach IAB, ponieważ dotyczą one wielu członków IAB oraz coraz większych zasobów kapitałowych. Ponadto wyłączność Transworld, zgodnie ze Statutem IAB, będzie obowiązywać tylko do czasu osiągnięcia nasycenia rynku na poziomie trzydziestu trzech

procent. Jeśli to EV jest tak dobre, jak się wydaje, chwila ta nastąpi dosyć szybko. Potem, jak mówi Statut, IAB będzie zwolnione z utrzymywania efektywnej ochrony przeciwko naruszeniom patentowym przez konkurentów. Wtedy wszyscy członkowie IAB i większość kapitału, którym oni dysponują, zostanie zaangażowana w EV. Większość tego kapitału już teraz podlega ruchom wyprzedzającym. A więc, los całej tej wysoce złożonej konstrukcji, już obecnie ostatecznie zależy od integralności Sollenar Corporation. Jeżeli akcje Sollenar stracą na wartości, nie tylko pan, ale wielu członków IAB znajdzie się w ogromnych kłopotach. Co, innymi słowy, oznacza że EV musi odnieść sukces.

— Wiem o tym wszystkim! I co z tego? Nie ma w ogóle ryzyka. Sprawdziłem każdy patent związany z EV, jaki powstał na Ziemi. Z wprowadzeniem systemu EV nie będą się wiązać żadne katastroficzne efekty przejściowe.

Ermine zauważył:

— Ale są również inżynierowie na Marsie. Inżynierowie Marsjanie. Oni są wymierającą rasą, ale nikt nie wie, czego jeszcze są w stanie dokonać.

Sollenar uniósł swoją wielką głowę.

Ermine dodał:

— Dzisiaj, późnym wieczorem, moje biuro dowiedziało się, że Cortwright Burr przez parę ostatnich tygodni prowadził bliskie konsultacje z Marsjanami. Zbudowali dla niego jakiegoś rodzaju maszynę. Przyleciała ona statkiem, który wylądował na Facility parę chwil temu.

Dłonie Sollenara zacisnęły się w pięści. Światła zgasły raptownie, i ponownie się zapaliły, a w całym pomieszczeniu coś zajęczało. Z tarasu dobiegł okrzyk zaskoczenia, a po nim dźwięk tłuczonego szkła.

Pan Ermine skinął głową, pożegnał się i wyszedł.

Kilka chwil później, pan Ermine opuścił Sollenar Building na poziomie dla pieszych. Przeszedł przez pieczołowicie zaprojektowany ogród, i dalej nad pieniącym się strumykiem, w stronę centralnego deptaka spacerowego biegnącego wzdłuż Alei. Przystanął przy żywopłocie, aby zerwać kwiat i rozkoszować się jego zapachem. Ruszył dalej, trzymając go w swych nagich palcach.

II

Zawieszony na nici swej przędzarki, Rufus Sollenar unosił się w powietrzu ponad budynkiem Cortwrighta Burra.

Budynek, jak jakiś pajak, dotykał ziemi tylko czubkami nóg. Rozkładał je szeroko na wszystkie strony, tworząc nisko zawieszoną masę, rozpościerającą się jak parasol nad kilkoma kwartałami ulic w centrum miasta. Sollenar manipulując wypełnionym helem plastikowym latawcem, wiszącym wysoko w górze, sterował swoim lotem strugami sprężonego gazu z plastikowych butli wbudowanych w konstrukcję latawca.

W całym tym systemie, tylko sam Sollenar nie był zupełnie przezroczysty dla miejskich radarów anty-samolotowych. On zaś był

owinięty w długie, łopocące taśmy z ziemisto czarnej, metalicznej tkaniny. Dla ludzkiego oka stanowił amorficzny obiekt, nie odbijający światła. Dla sensorów elektronicznych był tylko kłębkim zakłóceń, wyglądając jak arkusz metalowej folii uniesiony przez wiatr z jakiejś beztrosko pozostawionej sterty śmieci. Dla wszystkich zmysłów, wszystkich zainteresowanych, w ogóle niemalże nie istniał – i, dlatego, dawało mu to doskonałą sposobność dokonania zabójstwa.

Złapał się okna Burra. W środku był mężczyzna, siedział pochylony nad biurkiem. Co on trzymał w dłoniach – jakiś flakon?

Sollenar odpiął uprząż od siebie i przypiął ją do krawędzi gzymsu. Odchylając się na nim, zaparty gąbczastymi podeszwami butów o szkło, dotknął lewą dłonią okna i zatoczył nią koło. Nacisnął, rozległo się stłumione stuknięcie na pokrytej dywanem podłodze biura Burra i ostatnia bariera dla Sollenara zniknęła. Złożył się wpół, podkurczając kolana do piersi, i wyrzucił się do przodu, trzymając w prawej dłoni pistolet gładkolufowy. Potknął się i upadł na kolana, ale broń trzymał wycelowaną.

Burr podskoczył do góry za swoim biurkiem. Mała kula z pomarańczowo-złotego metalu, poznaczona ciemniejszymi brązowymi smugami i pokryta z robaczkami inkrustacji, ciągle znajdowała się w jego dłoniach.

— To on! — wykrzyknął Burr, kiedy Sollenar wystrzelił.

Łapiąc oddech, Sollenar obserwował jak ładunek trafia w Burra. Odrzucił jego tułów do tyłu szybciej, niż głowa i kończyny były w stanie za nim podążyć, bez wymachu. Wytłumiony pistolet był niemal bezgłośny. Burr, z przestrzeloną piersią, lecąc plecami do tyłu, uderzył o ścianę.

Błady Sollenar, z trudem powstrzymując mdłości, ruszył aby zabrać złotą kulę. Zastanawiał się, gdzie Szekspir mógł coś takiego zobaczyć, że wiedział iż stary człowiek może mieć w sobie aż tyle krwi.

Burr wyciągnął do niego rękę z nagrodą. Wpatrujący się w niego oczyma rozszerzonymi przez ciśnienie hydrostatyczne, z ubraniem poznaczonym rdzawymi plamami, i tułowiem zmienionym w kłęb połamanych kości, Burr oderwał się od ściany i ruszył, jakby miał zamiar złapać Sollenara w ramiona. To dziwne, ale ciągle jeszcze żył.

Cały drżący, Sollenar ponownie wystrzelił.

I znów Burr został odrzucony do tyłu. Kiedy po raz kolejny wylądował plecami na ścianie, kula wyleciała mu spomiędzy rozluźnionych palców.

Flakon, pomarańcza, czy cokolwiek innego – wyglądało to na coś cennego.

Sollenar pogonił za odtaczającą się kulą. A Burr przesunął się, żeby przeciąć mu drogę, niemalże pozbawiony twarzy, jakby przygarbiony przez jakiś ogromny niewidoczny ciężar, który powoli poddawał się w miarę jak jego plecy coraz bardziej trzeszczały.

Sollenar zrobił krok do tyłu.

Burr zrobił krok w jego stronę. Złota kula leżała w przeciwnym kącie biura. Sollenar z desperacją uniósł pistolet i wystrzelił po raz trzeci. Burr

zatonął się kilka kroków do tyłu, młóćąc rękoma jak wiatrak i upadł na jego nagrodę.

Łzy spłynęły Sollenarowi po policzkach. Przesunął jedną stopę do przodu... a leżący w kącie Burr uniósł głowę, i zaczął zbierać swoje ciało, wyętzając siły aby wstać.

Sollenar wycofał się do okna, pistolet szarpnął mu kilkukrotnie dłoń i łokieć, kiedy wystrzelił pozostałe naboje w magazynku.

Ciężko dysząc wszedł na parapet okna i przepiął uprząż do swojego ciała, oglądając się przez ramię do tyłu... kiedy Burr – gubiąc kawałki ciała, brocząc krwią i czymś gorszym niż krew – ruszył naprzód przez biuro.

Puścił się ramy okiennej i niezgrabnie manipulował sterami latawca. Daleko w górze, płynny balast wyciekł z pojazdu i rozproszył się w powietrzu na długo przedtem zanim doleciał do ziemi. Sollenar zaczął nabierać wysokości, szlochając...

A Burr stał w oknie, trzymając roztrzaskane dłonie na krawędzi wyciętego koła, patrząc nieustannie swoimi rozszerzonymi oczyma i nie spuszczać wzroku z Sollenara lecącego po tajemniczo wyglądającym niebie.

W miejscu, w którym wylądował, to jest na dachu jednego z należących do niego budynków, Sollenar miał naszykowane urządzenie do zniszczenia broni i innych charakterystycznych rzeczy. Chwilowo odsunął od siebie pytanie, dlaczego Burr nie chciał umrzeć. Z pustymi rękoma, powrócił do swojej dzielnicy w rezydencjalnej części miasta.

Wszedł do swego biura, wezwał adwokatów i przekazał im dokładną godzinę wyjścia i powrotu. Wiedział, że kwestia kontaktów z miejskimi władzami, w ten sposób została rozwiązana. Było to dosyć proste, bez żadnych świadków, którzy komplikowaliby sprawę. Zaczął żałować, że był taki niezdecydowany, i że nie zabrał Burrowi rzeczy po którą przybył. Przecież z pewnością, jeżeli pistolet nie zabił tego człowieka – starca o wątych kończynach i poplamionej skórze – mógł sam odepchnąć siłą na bok tego zakrwawionego starca o cienkich rączkach – tego poplamionego starca – i wyrwać się razem ze swą nagrodą z powrotem do okna, bo przecież jedyne co ten starzec mógł zrobić, to czepiać się go, chwytać go za nogi i próbować złapać się jego taśm maskujących – ten przeklęty nieśmiertelny starzec.

Sollenar uniósł dłoń. Wielkie okno na miasto zrobiło się nieprzejryste.

Bess Allardyce zastukała delikatnie w drzwi od strony tarasu. Można by pomyśleć, że wróciła do swojego apartamentu już wiele godzin temu. W pokrętny sposób zadowolony, otworzył drzwi i uśmiechnął się do niej, czując jak wysuszone ślady po łzach pękają mu na skórze policzków.

Chwycił ją za wyciągnięte dłonie.

— Czeakałaś na mnie — westchnął. — Już od dawna nikt tak piękny jak ty na mnie nie czekał.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

— Wyjdźmy na dwór i popatrzmy na gwiazdy.

— Nie jest za chłodno?

— Zrobiłam dla nas gorący korzenny cydr. Możemy go pić i rozmyślać.

Pozwolił jej wyciągnąć się na dwór, na taras. Oparł się o barierkę, otaczając ręką jej pulsującą talię i rozciągnąwszy swą pelerynę na ramiona ich obojga.

— Bess nie zapytam cię, czy zostaniesz ze mną niezależnie od okoliczności. Ale mogą nadejść chwile, kiedy nie zdołam znieść już dalszego życia w tym mieście. Co o tym sądzisz?

— Nie wiem — odparła szczerze.

A Cortwright Burr przełożył rękę przez krawędź parapetu, pomiędzy nimi.

Sollenar gapił się z niedowierzaniem na napięte palce, utrzymujące cały ciężar ciała człowieka zwisającego na pionowej ścianie budynku. Rozległo się szuranie, szelest, i do góry przesunęła się druga ręka, szukając na ślepo uchwytu. Znalazła go, wczepiając się w kamień. Palce napięły się i rozpląszczyły pod ciężarem Burra, próbującego podciągnąć głowę i ramiona ponad poziom barierki.

Bess wydyszała:

— Och, popatrz tylko na nie! Musiał je straszliwie pozdierać, wspinając się tak na górę! — Potem odsunęła się od Sollenara i stała patrząc na niego, z ręką przyciśniętą do ust. — Ale przecież on nie mógł się tutaj wspiąć! Jesteśmy tak wysoko!

Sollenar zaczął uderzać w palce nasadą dłoni, zadając proste, wytrenowane ciosy, których nauczył się w swym klubie sportowym.

Kości rozszczepiły się na kamieniu. Kiedy kłykcie uległy połamaniu, ręce zniknęły w jednej chwili, pozostawiając po sobie jedynie smugi. Sollenar wyrzwał poza balustradę. W oddali zmniejszał się bury tłumok, rysując się cieniem na tle światła poziomu dla pieszych i Alei. Skurczył się do wielkości łebka od szpilki. Następnie, kiedy doleciał do strumyka i woda wytrysnęła na wszystkie strony, zniknął w finalnym rozbłysku światła, użyczonego przez mrowie okolicznych latarni, które znalazły na dole chwilowe odbicie.

— Bess, zostaw mnie! Zostaw mnie, proszę! — wykrzyknął Rufus Sollenar.

III

Rufus Sollenar krążył po biurze, trzymając ręce bezpiecznie przed sobą, z rozłożonymi sztywno palcami.

Zadzwieczał telefon i odezwała się jego sekretarka:

— Panie Sollenar, jeszcze dziesięć minut i spóźni się pan na Bal Kierownictwa TTV. To zobowiązanie pierwszej klasy.

Sollenar roześmiał się.

— Myślałem, że takie jest, kiedy oryginalnie je klasyfikowałem.

— Czy teraz planuje pan zrezygnować, panie Sollenar? — uprzejmie spytała go sekretarka.

Pewnie, pomyślał Sollenar. Równie łatwo mógł zrezygnować z Balu, jak król mógł zrezygnować ze swej koronacji.

— Burr, ty śmieciu, co ty mi zrobiłeś? — spytał puste powietrze, a telefon oznajmił:

— Słucham?

— Powiedz mojemu służącemu — odparł Sollenar, — że idę.

Rozłączył rozmowę. Złożył ręce na piersiach. Pewny uchwyt na pustce, może być lepszy niż jakakolwiek nagroda w połamanych palcach.

Czując w piersiach coś, czego sam przed sobą nie chciał uznać za zgrozę, Sollenar przygotował się do Balu.

Ale zaledwie parę chwil po tym, jak zakończyła się pierwsza tura tańców, Malcolm Levier, z kierownictwa miejscowej stacji TTV, popatrzył ponad ramieniem Sollenara i zauważył:

— Och, tam jest Cort Burr, wygląda jakby urwał się z szubienicy.

Sollenar lśniący w stroju z epoki Medyceuszy, nie odwrócił nawet głowy.

— To on? A co by miał tu do roboty?

Brwi Leviera wygięły się w łuki.

— Ma trochę akcji. Dają mu one prawo wejścia. Ale spóźnił się. — Usta Leviera wykrzywiły się w uśmiechu. — Zrobienie sobie takiego makeupu musiało mu zająć trochę czasu.

— W niezbyt dobrym guście, co?

— Niech pan sam popatrzy.

— Och, zrobię coś znacznie lepszego — odparł Sollenar. — Podejdę do niego i chwilę porozmawiam. Proszę mi wybaczyć, Levier.

I dopiero wtedy odwrócił się i od razu ruszył w stronę Burra.

Ale Cortwright Burr, kiedy Sollenar podszedł do niego bliżej, wyglądał jak tandetna imitacja siebie samego. Stał obok drzwi, ubrany w czarne i szkarłatne szaty, z czarnymi skórzanymi rękawiczkami na dłoniach, trzymając laskę ze starego naturalnego drewna. Twarz ocieniał mu kaptur z płótna workowego, skrywając głęboko oczy. Widać było że jest ona upudrowana na szaro, a odrobina wymieszanych bardziej jaskrawych kolorów, ożywała mu policzki. Stał bez ruchu, kiedy Sollenar do niego podszedł.

Kiedy Sollenar przemierzał salę, oczy gapiów podążały za nim, śledząc każdy krok, i dalej przedłużając kierunek jego marszu, odnajdywały czekającego Burra. Szmer rozmów na Balu, przycichł wyczuwalnie, ale pomniejsi uczestnicy nadal w pewnym zakresie go podtrzymywali. Ludzie, którzy naprawdę się liczyli, milczeli i obserwowali uważnie.

Myślano, że Burr, pokonany w interesach, przybył tutaj, w tym ponurym, ohydny przebraniu, jako jakiś obłąkańczy wyrzut sumienia. Przecież on wyglądał jak trup. Albo nawet gorzej.

Pytanie brzmiało, co na to powie Sollenar. Powszechnym życzeniem było, aby Burr się stąd wyniósł, wrócił do swojej posiadłości, albo wyprowadził się do innego miasta. Nowy Jork nie był już dla Cortwrighta Burra. Ale co Sollenar może mu teraz powiedzieć aby go stąd przegnać, w jakieś miejsce do którego on sam nie miałby ochoty się udać?

— Cortwright — powiedział Sollenar tak że mogli to słyszeć tylko oni dwaj. — A więc ta twoja marsjańska nieśmiertelność działa.

Burr nic nie odpowiedział.

— Dodatkowo dostałeś również i to, co? Wiedziałeś, jak zareaguję. Wiedziałeś, że będziesz potrzebować ochrony. Zapłaciłeś Marsjanom, żeby uczynili cię fizycznie odpornym? To dobry system. Robi ogromne wrażenie. Kto by pomyślał, że Marsjanie tak wiele potrafią? Ale kto tutaj zwróci na ciebie uwagę? Wynoś się z miasta, Cortwright. Straciłeś swoją szansę. Jesteś martwy, przynajmniej jeśli chodzi o tych ludzi – wszystko co ci pozostało, to tylko cała skóra.

Burr wyciągnął rękę do góry i ukradkiem uniósł róg osłaniającej go maski. I tak, pod spodem to był on. Kaptur cofnął się o cal, jego oczy pokazały się w świetle; i Sollenar wiedział już, że się mylił. Z Burra pozostało mniej niż myślał.

— Och, nie, nie, Cortwright — miękko powiedział Sollenar. — Nie, masz rację – nie jestem w stanie wytrzymać czegoś takiego.

Odwrócił się i skłonił zebranemu towarzystwu.

— Dobranoc! — wykrzyknął i wyszedł z sali balowej.

Ktoś szedł za nim korytarzem do wind. Sollenar nie obejrzał się za siebie.

— Mam teraz umówione kolejne spotkanie z panem — powiedział Ermine, przytrzymując go za łokieć.

Znaleźli się na poziomie ruchu pieszego. Sollenar zaproponował.

— Chodźmy do kawiarni. Tam możemy pomówić.

— To zbyt publiczne miejsce, panie Sollenar. Lepiej po prostu rozmawiajmy, spacerując. — Ermine lekko wziął go pod ramię i skierował na chodnik. Sollenar zauważył, że Ermine był tak sprytnie przebrany, że nikt nie byłby w stanie nawet domyślić się jego wyglądu.

— Bardzo dobrze — zgodził się Sollenar.

— Oczywiście.

Spacerowali razem, niby zupełnie przypadkowo. Ermine rozpoczął:

— Burr chce doprowadzić do pańskiej śmierci. Czy to dlatego, że pan próbował zabić go wcześniej? Czy zdobył pan ten jego marsjański sekret?

Sollenar pokręcił głową.

— Nie udało się panu — westchnął Ermine. — To niefortunna okoliczność. Będę musiał podjąć odpowiednie kroki.

— Na podstawie Statutu — oświadczył Sollenar, — domagam się *laissez faire*, żądam nieingerencji.

Ermine uniósł wzrok, w oczach pojawiły mu się błyski.

— *Laissez faire*? Panie Sollenar, czy ma pan pojęcie, los jak wielu naszych członków zależy od pańskiego? Oni wszyscy, panie Sollenar, zawołają do pana *laissez faire*, ale pan najwyraźniej upiera się, żeby pociągnąć ich w dół razem ze sobą. Nie, proszę pana. Panie Sollenar, moje biuro natychmiast przekaże rekomendację dla Technicznego Komitetu Doradczego IAB, że według nas pan Burr dysponuje systemem lepszym od pańskiego, i dlatego akcji Sollenar Incorporated najlepiej jak najszybciej się pozbyć.

— Tam jest ławka — wskazał Sollenar. — Usiądźmy.

— Jak pan sobie życzy — Ermine podszedł z Sollenarem do ławki, ale nie usiadł.

— O co chodzi, panie Sollenar?

— Potrzebuję pańskiej pomocy. Poinformował mnie pan o tym, co ma Burr. To ciągle jest gdzieś w jego biurówcu. Pan ma odpowiednie zasoby. Możemy to zdobyć.

— *Laissez faire*, panie Sollenar. Odwiedziłem pana tylko jako doradca. Nic więcej nie mogę zrobić.

— A czy dla udziału w moich interesach, mógłby pan zrobić więcej?

— Pieniądze? — zachichotał Ermine. — Dla mnie? Czy zna pan warunki mojego zatrudnienia?

Gdyby Sollenar trochę się zastanowił, na pewno by o tym pamiętał. Z wahaniem wyciągnął rękę, żeby powstrzymać swego rozmówcę. Ermine go uprzedził.

Ermine obnażył swoją lewą rękę i zatopił w niej zęby. Pokazał rękę. W jego głosie ani zachowaniu nie było nawet śladu drżenia bólu.

— To nie jest legenda, panie Sollenar. To absolutna prawda. Pracownicy naszego biura muszą spędzić rok, po operacji nerwów, ucząc się chodzenia bez czucia w nogach, noszenia różnych rzeczy tak aby ich nie zgnieść, nie pozwolić im upaść na ziemię, ani samemu sobie nie zrobić krzywdy. Nasze doczesne przyjemności ograniczają się do słuchowych, zapachowych oraz wzrokowych. Łatwo je zaspokoić niewielkim kosztem. Nasze marzenia, są w pełni wewnętrzne, panie Sollenar. Operacja jest nieodwracalna. Co mógłby mi pan kupić za swoje pieniądze?

— Co mógłbym kupić dla siebie samego — głowa Sollenara opadła między ramiona.

Ermine pochylił się nad nim.

— Rozpacz, jaką pan czuje, to pańska prywatna rzecz, panie Sollenar. Nasze sprawy mają oficjalny charakter.

Uniósł wskazującym palcem podbródek Sollenara.

— Oceniam, że fizyczna ingerencja byłaby tym razem nieuzasadniona. Ale sprawy muszą zostać załatwione w taki sposób, aby związani z panem członkowie IAB, mogli odzyskać kwoty zainwestowane w EV. Czy to jest zupełnie jasne, panie Sollenar? Niniejszym zostaje pan na mocy Statutu uznany jako objęty nakazami Specjalnego Biura Public Relations. — Rzucił

okiem na zegarek. — Notatka została sporządzona o godzinie 1:27, czasu Miasta.

— Godzina 1:27 — powtórzył Sollenar. — Czasu Miasta.

Zerwał się na nogi i popędził po schodach na dół, na poziom taksówek.

Pan Ermine obserwował go z zagadkowym wyrazem twarzy.

Otworzył kieszeń swojego stroju, wyciągnął z niej powszechnie wykorzystywany zestaw medyczny i rozpylił koagulant na ranę na przedramieniu. Schował zestaw, uporządkował ubranie i pomaszerował na dół, tymi samymi schodami, którym zbiegł Sollenar. Uniósł rękę i koło niego wylądowała taksówka. Pokazał kierowcy kartę i taxi wystrzeliło w górę razem z nim w środku, ze światłami zapalonymi we wzorcu Pierwszeństwa, daleko szybciej niż mógł to zrobić pojazd Sollenara, ograniczany zwykłym limitem prędkości dozwolonym na mocy prawa.

IV

Long Island Facility strzelało w gwiazdy łukami i rozpiętymi wspornikami, błyszczało jak klejnot, szkłem i metalem, tak jakby cały port był jednym wielkim mechanizmem służącym do lotu w przestrzeni międzyplanetarnej. Rufus Sollenar pokonywał jego esplanady, starannie odmierzonymi krokami, sztywno, trzymując nieruchomo ręce, przez cały ten krótki czas, zanim nie mógł w końcu wejść na pokład rakiety na Marsa.

Wyprostowany i majestatyczny, zajął miejsce w salonie i ostrożnie pociągnął łyżeczek likieru, zaś w tym czasie liniowiec wystartował z Ziemi i włączył silniki głównego napędu Faradaya.

Pan Ermine usiadł w fotelu obok niego.

Sollenar popatrzył na niego spokojnie.

— Tak też myślałem.

Ermine skinął głową.

— Oczywiście, że pan myślał. Ani na chwilę pana nie zgubiłem. Dotarłem tutaj jeszcze przed panem. Nie mam obiekcji co do pańskiej podróży na Marsa, panie Sollenar. *Laissez faire*. Pod warunkiem, że będę mógł lecieć z panem.

— No cóż — westchnął Sollenar. — Odrobinę likieru? — Skinął swoim kieliszkiem.

Ermine pokręcił przecząco głową.

— Nie, dziękuję — odparł delikatnie.

Sollenar spytał:

— Nawet język?

— Oczywiście, że język także, panie Sollenar. Nie mogę niczego skosztować, nie mogę niczego dotknąć. Ale nie czuję też żadnej presji.

— A więc dobrze — stwierdził rzeczowo Sollenar. — Mamy parę godzin do czasu lądowania. Może pan sobie siedzieć i snuć swoje wewnętrzne marzenia, a ja będę snuł swoje.

Pokręcił się we wszystkie strony w swoim fotelu, wygodniej się rozsiadając, i złożył ręce na piersi.

— Panie Sollendar — łagodnie powiedział Ermine.

— Tak?

— Po raz kolejny jestem z panem umówiony na spotkanie, zgodnie z zapisami Statutu.

— Proszę więc mówić, o co tym razem panu chodzi, panie Ermine.

— Nie możemy pozwolić, aby pan zaginął bez wieści, panie Sollendar. Zawarte zostały polisy ubezpieczeniowe na pańskie życie, na bardzo wysokie kwoty. Członkowie IAB, których to dotyczy, nie mogą czekać wymaganych przez prawo siedmiu lat, zanim zostanie pan uznany za zmarłego. Może pan robić wszystko, na co ma pan ochotę, panie Sollendar, ale ja muszę zadbać o to, aby być świadkiem pańskiej śmierci. Od tej chwili, będę panu towarzyszył, gdziekolwiek pan się uda.

Sollendar uśmiechnął się lekko.

— Nie mam zamiaru umierać. Dlaczego miałbym umrzeć, panie Ermine?

— Nie mam pojęcia, panie Sollendar. Ale znam charakter Cortwrighta Burra. A czy to nie on siedzi tam, w rogu? Światło jest kiepskie, ale wydaje mi się, że można go rozpoznać.

Po drugiej stronie salonu Burr uniósł głowę i popatrzył Sollendarowi w oczy. Uniósł dłoń w okolice głowy, być może po prostu w geście powitania. Rufus Sollendar odwrócił się twarzą do niego.

— Godny przeciwnik, panie Sollendar — stwierdził Ermine. — Wytrwały, zawzięty, pomysłowy człowiek. A jednak... — Ermine zdawał się być odrobinę zakłopotany. — A jednak, panie Sollendar, wydaje mi się, że dosyć łatwo pana pogonił. Co się stało między wami, po naszej pierwszej rozmowie?

Sollendar obdarzył Ermine'a straszliwym uśmiechem.

— Postrzelałem go jak rzeszoto. Gdyby zerwał mu pan tę twarz, to sam by pan zobaczył.

Ermine westchnął.

— Aż do tej chwili, ciągle jeszcze myślałem, że może jakoś uda się panu uratować swoje sprawy.

— Litość, panie Ermine? Litość dla obłąkanego?

— Zainteresowanie. Nie mogę stać się częścią pańskiego świata. Niech pan będzie wdzięczny opatrności, panie Sollendar. Nie jestem już tym samym łatwowiernym człowiekiem, jakim byłem wtedy kiedy podpisałem swój kontrakt z IAB, wiele lat temu.

Sollendar roześmiał się. Potem obrzucił ukradkowym spojrzeniem kąt, w którym siedział Burr.

Statek wylądował w porcie Aberathy Field w Aresji, ziemskim mieście. Była to zgiełkliwe zbiorowisko przemysłowych, prefabrykowanych, tandetnie zbudowanych i odpornych na burze budynków, ale zbiorowisko dumnie stojące na skraju pustyni.

Daleko na horyzoncie widać było osadę Marsjan – budynki tak umiejętnie wplecione w szczegóły terenu, tak zniszczone przez upływ czasu, tak bardzo opustoszałe, że niepoinformowany człowiek nawet by go nie zauważył. Sollenar był już kiedyś na Marsie – na wycieczce. Widział tubylców w tym ich nienazwanym nawet, miejscu zamieszkania; aroganckich, pełnych złości i słabych. Opłacony przewodnik powiedział mu, że handlowali z Ziemianami, na tyle na ile mieli na to ochotę, i trzymali swoje miasto na obrzeżu terenu zajętego przez Ziemian, bacznie obserwując.

— Niech pan mi powie, Ermine — spytał spokojnie Sollenar, kiedy szli przez halę terminalu, — ma pan mnie zabić, nieprawdaż, gdybym spróbował dalej wyruszyć bez pana?

— To kwestia procedury, panie Sollenar — odparł bez wahania Ermine. — Nie możemy ryzykować utraty kapitału zainwestowanego przez tak wielu członków IAB.

Sollenar westchnął.

— Gdybym to ja był jednym z tych członków, nie mógłbym panu polecić niczego innego, panie Ermine! A więc, czy gdzieś w okolicy możemy wynająć sobie samochód?

— Chce pan spotkać się z inżynierami? — zapytał Ermine. — Kto by pomyślał, że oni mogą mieć coś cennego na sprzedaż.

— Chcę im coś pokazać — wyjaśnił Sollenar.

— Co takiego, panie Sollenar?

Skręcili w szeroki korytarz, z odgałęziającymi się tu i ówdzie dalszymi przejściami, w niektórych z nich było zupełnie pusto.

— Chodźmy tutaj — powiedział Sollenar, kiwając głową w kierunku jednego z nich.

Hala i główny korytarz, zniknęły im już z oczu.

— Chodźmy — ponaglił Sollenar. — Jeszcze kawałek.

— Nie — sprzeciwił się Ermine. — Zaszliśmy już dalej, niż bym sobie naprawdę życzył. Tutaj jest ciemno.

— Mądry, ale poniewczasie, panie Ermine — powiedział Sollenar, a jego ręce wystrzeliły w błyskawicznych uderzeniach.

Jedna dłoń uderzyła w splot słoneczny Ermine'a, a druga w mięśnie na boku jego szyi, ale nie na tyle mocno aby go zabić. Ermine upadł, próbując złapać oddech, podczas gdy Sollenar w myślach przeklął swoją świeżo wpojoną mu niechęć do zabijania. Potem Sollenar odwrócił się i zaczął uciekać.

Leżące za nim ciało Ermine'a z wysiłkiem usiłowało złapać oddech, działając wyłącznie na zasadzie odruchu bezwarunkowego.

Poruszając się najszybciej jak tylko śmiał, Sollenar wrócił do sali i udał się na postój taksówek, ściągając po drodze z wiszącej na ścianie półki, respirator. Wsiadł do samochodu i podał miejsce docelowe, oglądając się za siebie. Nie dostrzegł nigdzie Cortwrighta Burra, od chwili kiedy postawił stopę na Marsie. Wiedział jednak, że wcześniej czy później, Burr go znajdzie.

Kilka chwil potem Ermine pozbierał się na nogi. Samochód Sollenara był już daleko. Ermine wzruszył ramionami i udał się do miejscowej stacji nadawczej.

Zażądał prywatnej kabiny, broni palnej i natychmiastowego czasu na wewnętrznej linii między biurami IAB, na Ziemię. Kiedy z jego biura dotarło do niego potwierdzenie nawiązania połączenia, zameldował:

— Sollenar jest w drodze do miasta Marsjan. Oczywiście, chce kopii urządzenia które otrzymał Burr, ponieważ rozbił oryginał kiedy zabił Burra. Udam się za nim i dokonam ostatecznego usunięcia. Dezorientacja, o której meldowałem poprzednio szybko postępuje. Niemal wszystkie jego reakcje są w tej chwili niewłaściwe. W czasie lotu w kosmosie, wydawał się widzieć kogoś siedzącego w pustym fotelu. Dosyć często, kiedy do niego mówiłem, ewidentnie słyszał coś zupełnie innego. Spodziewam się zdażyć na któryś z najbliższych lotów powrotnych.

Nie było sensu czekać na odpowiedź, która musiała pokonać długą drogę z Ziemi. Ermine wyszedł więc. Podszedł do rzędu czekających taksówek i zapłacił podwyższoną opłatę za przewóz poza granice Aresji.

Z bliskiej odległości marsjańskie miasto wyglądało jak bezładna kupa odłamków potłuczonych naczyń. Fragmenty ścian i dachów łączyły się pod najdłuższymi kątami i wskazywały na nic. Pod pośpiesznie przesuwanymi się stopami Sollenara, grzechotały i ześlizgiwały się odłamki szklanego materiału, nie tworzące żadnych kształtów pasujących do czegokolwiek sensownego, ani mozaik które mogłyby się znaleźć w jakimkolwiek kościele.

To, co z Aresji wyglądało na solidny fronton ciemnobrązowego koloru, teraz okazywało się fasadą pokrytą czerwonymi, zielonymi i niebieskimi plamami, rozchłapanymi na niej całe setki lat temu, i dlatego mocno już spłowiałymi, widocznymi tylko na tyle aby było można było rozpoznać jak bardzo gryzącymi się kolorami kiedyś zostały zrobione. Nad wszystkim rozpościerało się śliwkowe niebo, wyglądające jak zimna membrana. A do tego dochodził wiejący nieustannie wiatr.

W trakcie swego marszu Sollenar dostrzegał tu i ówdzie ręce i głowy Marsjan wystające spod gruzu. Rzeźby.

Zmierzał w kierunku serca miasta, gdzie ostało się parę niezniszczonych budowli. Na wierzchołku jednego ze stosów odłamków, odwrócił się i popatrzył do tyłu. Widać było pióropusz kurzu wzniesany przez jego taksówkę, wracającą do miasta. Spodziewał się, że będzie wracał na piechotę – być może po to, by spotkać kogoś na swej drodze, będąc zupełnie sam na marsjańskiej równinie, jeśli Ermine zdoła powstrzymać się przed interwencją. Przeszukując wzrokiem płaską krainę, rozciągającą się daleko w rzadkim powietrzu, usiłował wychwycić niestrudzony punkcik Cortwrighta Burra. Nie udało mu się. Jeszcze nie.

Odwrócił się i zbiegł po niepewnym zboczu.

Dotarł do obrzeża lepiej utrzymanego obszaru. Tutaj gruzu nie było, prądowe chodniki były zamiecione, posągi stały wyprostowane na swych

postumentach. Ale tylko pokruszone ściany sugerowały miejsce frontonów stojących tutaj domów. Przebijając się ścianami w górę, przez pofalowany wiatrami piasek, który tylko nieustanne starania pozwalały usunąć z ulic, te cienie domów ogradzające jego drogę i posągi, trwały nie poddając się, jak nadzieja. Przed sobą zobaczył budynki inżynierów. Nie było żadnej sterty gruzu, na którą mógłby wejść i sprawdzić, czy Ermine nie podąża już, tuż za jego plecami.

Wdychając powietrze ze swego respiratora, dotarł do budynku marsjańskich inżynierów.

Wzdłuż framugi drzwi zwiślał pas dzwonka. Pociągnął ostro, wbijając w niego paznokcie i wzdłuż pustych ścian rozszedł się echem ostry grzechot, sygnalizujący jego prośbę o wpuszczenie do środka.

V

Drzwi otworzyły się i stanęli w nich Marsjanie, spoglądający na przybysza. Mieli wrzecionowate kończyny, twarze obramowane przez fałdy skórzastej tkanki. Ich usta obwiedzione były podobną do wargi osłoną z twardego jak proteza zębowa rogu, zaciśnięte i zawsze jakby gotowe do żucia. Sollenaar widział, że nie byli specjalnie mili zarówno z wyglądu, jak i w kontaktach. Ale Cortwright Burr jakoś tego dokonał. A Sollenaar również musiał to zrobić.

— Czy ktoś tu mówi po angielsku? — zapytał.

— Ja — oznajmił Marsjanin stojący pośrodku, otwierając usta tylko po to by wydać dźwięk, zamykając je natychmiast po zakończeniu odpowiedzi.

— Chciałbym z tobą ubić interes.

— W każdej chwili — powiedział Marsjanin i stojąca w wejściu grupa rozdzieliła się, aby wpuścić Sollenaara do środka.

Zanim zamknęły się za nim drzwi, Sollenaar obejrzał się. Ale sterty gruzu z porzuconych sektorów miasta zasłaniały mu widok na pustynię.

— Co możesz zaoferować? I czego chcesz? — zapytał Marsjanin. Sollenaar stał, na wpół otoczony utworzonym przez nich półkolem, w pomieszczeniu, którego kątów nie był w stanie zobaczyć w niepewnym świetle.

— Oferuję wam ziemską walutę.

Mówiący po angielsku Marsjanin – Marsjanin, który przyznawał się, że umie po angielsku – odwrócił lekko głowę i przemówił do swych towarzyszy. Kiedy jego wargi stykały się ze sobą, rozlegały się klekocące dźwięki. Inni zareagowali różnie, jeden z nich wykonał gwałtowny gest, który wydawał się być odpowiednikiem zniesmaczonego machnięcia ręką, a następnie odwrócił się i bez słowa odszedł. Jego barki wyglądały jak otulone szalem ramiona bardzo starej i bardzo głodnej kobiety.

— A co dał wam Burr? — spytał Sollenaar.

— Burr. — Marsjanin przekrzywił głowę. Jego oczy nie były zbudowane z wielu faset, ale sprawiały takie wrażenie.

— On był tutaj i dobił z wami interesu. Niedawno. Na jakich warunkach?

— Burr. Tak. Burr dał nam walutę. Weźmiemy walutę od ciebie. Za tą samą rzecz, którą daliśmy jemu?

— Za nieśmiertelność, tak.

— Nie... To jakieś nowe słowo.

— Tak? Za sekret nie umierania.

— Nie umieranie? Myślisz, że mamy tutaj na sprzedaż nie-umieranie?

Marsjanin ponownie przemówił do innych. Ich wargi zaczęły klekotać. Pozostali odeszli, tak jak ten pierwszy, poruszając się z ogromną precyzją, bardzo powolnym krokiem, okazując kompletny brak dalszej tolerancji dla osoby Sollenara.

Sollenar krzyknął:

— A więc, co takiego mu sprzedaliście?

Główny inżynier odparł:

— Zbudowaliśmy dla niego urządzenie rozrywkowe.

— Niewielki przedmiot. Tych rozmiarów. — Sollenar złożył dłonie w miseczkę.

— A więc, musiałeś je widzieć.

— Tak. I nic więcej? To wszystko, co on tutaj kupił?

— To wszystko co mieliśmy do sprzedania – albo do dania. Jeszcze nie wiemy, czy Ziemianie dadzą nam rzeczy w zamian za walutę. Zobaczymy, kiedy następnym razem będziemy czegoś potrzebowali od Aresji.

Sollenar zaczął się dopytywać.

— Jak ona działała? Ta rzecz, która mu sprzedaliście.

— Och, ona pozwala, aby każdy mógł opowiadać historie samemu sobie.

Sollenar przyjrzał się bliżej Marsjaninowi.

— Jakiego rodzaju historie?

— Każdego rodzaju — uprzejmie wyjaśnił Marsjanin. — Burr powiedział nam czego chce. Miał ze sobą rysunki urządzenia Ziemian, które używało obrazów na ekranie i transmitowanych dźwięków do przekazywania szczegółów historii opowiadanej widzowi.

— On ukradł te patenty! Nie będzie mógł ich wykorzystać na Ziemi.

— **A** czemu miałyby to robić? Nasze urządzenie nie musi przekazywać żadnych precyzyjnych szczegółów. Umysł każdego odbiorcy sam sobie wypracuje własne. Trzeba go tylko wprowadzić w określoną sytuację, i od tej chwili on sam wykona już całą pracę. Jeśli widz, na przykład, zażyczy sobie historii na temat kontaktu z inną płcią, projektor po prostu spowoduje, że będzie mu się wydawało, iż następnym razem kiedy znajdzie się w towarzystwie obiektu swego pożądanego, otrzyma od niego pozytywne sygnały – że wzbudza w tym obiekcie reakcje podobne do swoich. Kiedy to już zostanie w nim utrwalone, wtedy widz może opuścić maszynę, normalnie się wszędzie poruszać, prowadzić zwykłe, codzienne życie – ale zawsze w zgodzie z podstawową sytuacją. To jest, rozumiesz,

tak ostatecznie, środek do wprowadzenia systemu w obraz postrzegania rzeczywistości przez widza. Oczywiście, jego otoczenie musi zrozumieć, że zachowuje się on niezgodnie z rzeczywistością, ponieważ pewne rzeczy, które on robi nie wydają się racjonalne z punktu widzenia zewnętrznego obserwatora. Muszą więc zostać podjęte pewne środki ostrożności, ale niezbyt silne. Kiedy wiele takich urządzeń zostanie wprowadzonych do waszego społeczeństwa, wkrótce tego rodzaju okoliczności staną się czymś zwykłym, i społeczeństwo z pewnością przystosuje się do tego, aby na nie pozwolić — oznajmił Marsjanin mówiący po angielsku.

— Ta maszyna potrafi stworzyć w umyśle widza każdą sytuację, jaką się chce?

— Na pewno. Istnieją proste taśmy przygotowujące, które mogą być wprowadzone w razie potrzeby. Miłość, przygoda, rozrywka intelektualna — nie ma żadnej różnicy.

Kilku z otaczających ich widzów, wyklekotało między sobą parę dźwięków. Sollenar ukradkiem obrzucił ich wzrokiem. Oczywiście było, że pośród tych ludzi było co najmniej kilku mówiących po angielsku.

— A urządzenie, które daliście Burrowi — spytał inżyniera, ani spokojnie, ani z nadzieją. — Jakiego rodzaju historie mogli opowiedzieć sobie widzowie korzystający z niego?

Marsjanin znowu przekrzywił głowę. Nadało mi to wygląd sowy w oknie sypialni.

— Och, to była sytuacja, co do której zostaliśmy szczegółowo poinstruowani, aby ją włączyć. Burr powiedział, że myślał o niej wcześniej, żeby pokazać ją jednemu ze swoich znajomych. Była to sytuacja przerażającej przygody i miała kończyć się poczuciem straty i goryczą.

Marsjanin popatrzył na Sollenara jeszcze uważniej.

— Oczywiście, urządzenie nie określa żadnych szczegółów. Nikt poza widzom nie wie jak straszne stworzenia mogą zaludniać jego historię, ani szczegółowo do jakiego końca ona prowadzi. Jak sądzę, nazywasz się Rufus Sollenar? Burr mówił o tobie i wydawał z siebie odgłosy śmiechu.

Sollenar otworzył usta. Ale nie miał nic do powiedzenia.

— Chcesz takie urządzenie? — spytał Marsjanin. — Przygotowaliśmy kilka, od czasu wyjazdu Burra. Mówił coś o maszynach, które mogłyby produkować je w astronomicznych ilościach. My, oczywiście, zrobiliśmy co się dało, skromnymi siłami naszych gołych rąk.

Sollenar odparł.

— Chciałby wyrzeć przez wasze drzwi.

— Z przyjemnością.

Sollenar otworzył lekko drzwi. Na opustoszałej ulicy stał Ermine, nieruchomy jak cień znajdujących się za nim budynków. Kiedy zobaczył Sollenara, uniósł jedną rękę w geście wymuszonego pozdrowienia, a następnie położył ją z powrotem na rękojeści pistoletu. Sollenar zamknął drzwi i zwrócił się do Marsjan:

— Ile pieniędzy byście chcieli?

— Och, wszystko co masz przy sobie. Wy, ludzie zawsze macie ich dużo ze sobą, kiedy podróżujecie.

Sollenar zanurzył dłonie w kieszeniach i wyciągnął portfel, trochę drobnych, klucze, kryształkowe radio; wyrzucił na podłogę wszystko co miał w nich w środku, słuchając brzęku toczących się monet.

— Szkoda, że nie mam tu więcej — roześmiał się. — Szkoda, że nie mam aż tyle, ile dostanie ten człowiek tam na zewnątrz, kiedy mnie zastrzeli.

Marsjański inżynier przekrzywił głowę.

— Ale twój sen się skończył, Sollenar? — zaklekotał sucho. — Czyż nie?

— Zupełna racja. Ale wy macie swoje cale, a ja mam swoje. A teraz dajcie mi jeden z tych projektorów. I ustawcie go na przygotowanie sytuacji, którą za chwilę wam nakreślę. Weźcie jednak pod uwagę, że będzie on potrzebny przez długi czas. Ta widownia jest bardzo cierpliwa.

Zaśmiał się, ale w jego oczach zebrały się łzy.

Pan Ermine czekał, izolowany od zimna, nasłuchując, czy rękojęść broni nie wyslizgnęła mu się z palców. Nie odczuwał pokusy, aby wejść za Sollenarem do budynku Marsjan i wplątywać w to wszystko osoby trzecie. Chciał tylko umieścić ciało Sollenara pod znacznikiem z datą śmierci, przy tak niewielu problemach, jak to tylko było możliwe.

Chwilowo więc spacerował sobie kilka kroków do przodu i do tyłu, aby utrzymać kontrolę nad mięśniami w tych ekstremalnych warunkach, spowodowanych niską temperaturą skóry. Sollenar musiał dosyć szybko wyjść na zewnątrz. Nie zabrał ze sobą zapasu żywności, i chociaż Ermine niechętnie podejmowałby ryzyko rywalizacji z człowiekiem pokroju Sollenara w konkursie na głód, nie było wątpliwości, że ktoś nie czujący smaku paliwa był w stanie przetrzymać kogoś z wykształconymi odruchami jedzenia.

Otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Sollenar.

Coś ze sobą niósł. Może broń. Ermine pozwolił, aby podszedł bliżej, następnie uniósł i uważnie wycelowował swój pistolet. Sollenar mógł mieć jakąś marsjańską broń, albo może i nie. Ermine'a specjalnie o to nie dbał. Jeśli Ermine umrze, ledwie go to obejdzie – w znacznie słabszym stopniu, niż obeszło by go spartaczone zakończenie przydzielonego zadania, już wcześniej skopanego przez ucieczkę Sollenara w porcie kosmicznym. Jeśli Ermine umrze, niemal natychmiast do sprawy zostanie przydzielony jakiś inny agent SBPR. Nieważne co się wydarzy, SBPR zatrzyma Sollenara, zanim zdoła on dotrzeć do portu Abernathy Field.

A więc, miał mnóstwo czasu na złożenie się do niezbyt pośpiesznego, pewnego strzału.

Sollenar do tego czasu podszedł bliżej. Wydawał się być w jakimś szczególnie podnieconym stanie umysłu. Wyciągnął rękę z tym, co w niej trzymał.

Była to kolejna z maszyn rozrywkowych Marsjan. Sollenar zdawał się oferować ją Ermine'owi jako żeton za przejście. Ermine uśmiechnął się.

— Cóż mi pan może oferować, panie Ermine? — oznajmił i strzelił.

Złota kula potoczyła się po piasku.

— I co teraz — powiedział Ermine. — Czyż nie wolałby pan być mną niż sobą? I gdzie jest to, co czyniło różnicę między nami?

Zadygotał. Było mu zimno. Niesiony wiatrem piasek uderzał w jego czułą twarz, która uległa lekkim obtarciom w czasie długiego oczekiwania.

Staął, przeszyty nową myślą.

Uniósł głowę.

Potem, obszernym zamachem ręki odrzucił od siebie wirującą w powietrzu broń.

— Wiatr! — westchnął w rozrzedzonym powietrzu. — Czuję wiatr.

Wyskoczył wysoko, a kiedy wylądował spod stóp wytrysnął mu na wszystkie strony piasek. Wyszeptał do siebie:

— Czuję ziemię.

Popatrzył cały drżąc z radości, na leżące ciało Sollenara.

— Co mi pan dał?

Przepełniony nowym życiem, uniósł ponownie głowę do góry, patrząc w niebo, i wykrzyknął w stronę Słońca:

— Och wy dusigrosze, skąpiradła, którzy uczyniliście mnie nieprzekupnym i myśleliście, że to mój koniec!

Z miłością pogrzebał ciało Sollenara i z szacunkiem umieścił na nim znacznik, snując przy tym plany tego co będzie mógł osiągnąć dzięki swej transakcji on sam, jak i krocie tych, których wtajemniczy.

Ostry kawałek glinianego naczynia przebił podeszwę jego buta i rozciął mu stopę, ale on nie widząc rany, również i nie czuł jej. Tak samo nie dostrzegł nic, ani nie czuł, nawet kiedy zmienił skarpety, ponieważ nie zauważył zranienia kiedy powstało. Było ono nieważne. Za parę dni się zagoi, chociaż nie tak szybko, jak wtedy gdyby odpowiednio się nim zajął.

Mgliście słyszał odgłosy klekotania Marsjan za zamkniętymi drzwiami, kiedy ruszył pośpiesznie do miasta, pełen żądzy zemsty i szacunku dla swego wybawcy.

KONIEC